

ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej
i wiadomościom literackim.

Rok VI.

Warszawa, dnia 14 Marca 1914 roku

№ 11.

Andrzej Strug.

„Pieniądz”

Wszelkie prawa autor-
skie i wydawców za-
strzeżone.

Powieść z obcego życia.

11

W ostatnich dniach prawdziwe niebezpieczeństwo zawisło nad jej głową. Jenny zwierzyła się, że żal jej Roberta.

— Nie mogę patrzeć na jego biedne, wierne oczy. Ileż on dla mnie wycierpiał... Ale gdybym się zgodziła zostać jego żoną, byłby jeszcze nieszczęśliwszy...

Jak na Jenny, było to już bardzo wiele. Mistress Brigs podwoiła czujność. Szpiegowała każde ich spojrzenie, podsłuchiwała każde słowo. W ostateczności gotowa była na wszystko. Jednak zanim do tego dojdzie...

Kazała Robertowi wyjechać. Pchała go na Matterhorn, wiedząc, że dla dotkniętego czemś w rodzaju choroby przestrzeni jest to niepodobieństwem, a niudana wyprawa ośmieszyla go tylko w oczach Jenny. Wrazie gdyby nie usłuchał i zjawił się znowu... Na szczęście, atak nerwowy Jenny dawał jej pozór do trzymania go zdala przez czas dłuższy.

Jakaś obca siła poderwała Jenny na postaniu. Coś ją nagle zbudziło z krótkiego, głębokiego snu, w który zwykle zapadała po atakach. Gnębiło ją ciężkie, przykre uczucie. Było smutno, ponuro. Nagle chwycił ją strach. Przypomniała sobie sen, który był przed chwilą.

Ktoś straszny patrzył na nią u poręczywie. Ktoś w nią godził. Groziło jej niebezpieczeństwo. Ono jest tuż, blisko. Skrada się po nocy, jak zbrodniarz z nożem.

— Ach — przez to okno!

W sypialni panował niebieskawy zmierzch. Jak zazwyczaj, wielkie okno było odsłonięte. Pola śnieżne, zalane księżycowym światłem, daleki zrab szczytów, to, co zawsze...

W dole światełka Zermatt, powyżej, w odosobnieniu, łuna blasku. To „Astoria”.

Widok był najwyczerpienniejszy i

to uspokoiło Jenny. Sen... Czemuż nigdy sny nie bywają tak strasznie wyraźne? Jeżeli to był sen, to musi on coś znaczyć... Co?! Chyba coś bardzo złego...

— Kto tu jest?! To ty, Margot? Co tu robisz?

— Pani Brigs kazała mi tu siedzieć przez całą noc.

— Po co? Natychmiast ruszaj spać!

— Pani czuła się niedobrze. Mała niedyspozycya. Mogę być potrzebna...

I dopiero w tej chwili Jenny przypomniała sobie wszystko. Wzdrygnęła się. Zastoniła oczy rękami, twarz pałała — co za wstyd!

Spoczywała przez chwilę, poczem energicznym ruchem odgarnęła włosy, spadające jej na twarz, i spojrzała na wierną Margot surowym wzrokiem.

— Idź spać, Margot — rzekła ostro. — Natychmiast!

Kiedy została sama, zanurzyła się w swoich myślach, jak w skłębiomych chmurach. Wszystko było zwikłane i trudne, groźne, niewyraźne.

Tarla czoło i przedzierała się mozolnie przez gęstwinę jakichś niezmiernie dziwnych wydarzeń, niejasnych obaw, obrazów, niewiadomo skąd wypływających w nieopisanem bogactwie. Jedno krzyżowało się z drugim. Rzeczy kiedykolwiek słyszane, wyczytane w książkach... Wspomnienia...

— Nie! Nie! Nie o tem chcę teraz myśleć. I nie o tem! Nie — to było coś innego... Jeszcze coś innego...

— Ach! — przypomniała sobie wreszcie.

I wstyd i żal. I strach i coś jakby radość. Znowu żal. Niecierpliwy, pragnący coś powstrzymać, coś naprawić. Ach, natychmiast! Obawa, że już zapóźno, że przepadło wszy-

stko, że się coś straszego stało, coś ostatecznego, jak śmierć...

Wstanie, ubierze się byle jak, pobiegnie do telefonu. Dwa słowa — i już wszystko dokonane! Natychmiast! Natychmiast!

Zerwała się z pościeli, ale zaledwie dotknęła stopami ziemi, ogarnęło ją dziwne uczucie przerażenia. Znowu stoi ktoś przed nią i patrzy złemi oczami... Jest niewidzialny, ale ona go czuje. Patrzy przez okno. Jeszcze patrzy ciągle...

Dygocąc ze strachu, pobiegła do okna i zasunęła kotarę. Uspokoiło ją to znacznie. Teraz będzie mogła myśleć.

Jednak to, co było właśnie najważniejsze, już się gdzieś rozproszyło.

Znowu uwagę przykuł do siebie człowiek, patrzący na nią złemi oczami. Jego nienawiść ku niej jest spokojną, tem gorszą. On zamierza coś straszego. Czekaj spokojnie, stoi, patrzy. Któż to jest?

Znowu zaczynają się okropne historie o złych ludziach, prześladowających niewinną dziewczynę. Naczytała się tych opowieści tyle. Smutne, takie smutne, aż niepodobne do prawdy. Poco o nich myśleć? Najbardziej pamięta te, które przedstawiano w kinematografie — wówczas, jeszcze w szkole.

...Więc ten bogaty pan miał pałac, okręty, fabryki, tysiące robotników, dużo ziemi, dużo bydła i koni, które ganił po stepie czarni od słońca cowboye.

Jego córeczka miała piętnasty rok, ale już była duża i piękna. Była bardzo szczęśliwa. Oddawała się wszelkim sportom, ale najbardziej lubiła konia i step. Wśród stepu były głębokie i rozległe jary, porośnięte kolczastymi krzakami, a w stepie trawa powyżej łba końskiego. Nie puszczali jej samej. Zawsze jechał za nią Patrick. Jakże często uciekała od niego naprzelaj, kryła się po parowach, zwozila go najokrutniej.

Lubiła być sama. Dzielnym koni był Tepo, łysy kasztan. A Billy był

to dzielny cowboy. Widywała go często. On to dla zabawy córki swego pana chwycił na arkan zdzi-
czale byki, wyprawiał na koniu sztuki, jakich nikt drugi nie potrafił. Za-
wsze miał dla niej jakiś dar: rzadkie
kwiaty stepowe, orle pióro, mienia-
cą się centkowaną skórę węża. Lubił
dziewczynkę niezmiernie.

Wszędzie go musiała spotkać na
swojej drodze. Młody, piękny, dzi-
ki chłopak. Polubiła go bardzo.

Ileż razy wynurzył się przed nią
niespodziewanie z gąszcza traw...

Spotkali się któregoś popołud-
nia — orły krążyły wysoko, na ka-
mieniach wygrzewały się małe ja-
szczurki — o, jakież żar buchał z nie-
ba, od ziemi...

Wypoczywała z rozkoszą. Tepo
robił bokami, okryty pianą. Właśnie
przed chwilą udało jej się zmylić Pa-
tricka. Uciekała przed nim długo, aż
zapadła w nieznany parów.

Tu — na dnie głębokiego jaru,
pośród puszczy splełanych krzaków,
wyrósł przed nią Billy, jak z pod
ziemi. Patrzył na nią czarnymi, jak
węgiel, oczami. Nie pozdrowił jej, nie
odpowiadał na pytania, tylko białe
zęby błysnęły w ogorzalej twarzy.
Wyciągnął ramię, zdjął ją z konia,
przesadził na swojego — popędzili...

Sen — to sen... Jenny śni, że ona
to była tą dziewczynką. Tak wszyst-
ko jasno pamięta...

— Cóż dalej?

Zawrotny pęd, potężny, bolący
ucisk ramienia, gniotącego ją przy
gorącej piersi. Ostra woń końskiego
potu. Płomienie...

Płomienie na ustach, płomienie
na ciele, goręje od stóp do głów. Za-
pada się gdzieś, leci z konia, chwytą
za szyję cowboya.

— Billy... Billy... Co się sta-
ło? Co to jest?...

Nie może mówić, bo brak tchu.
Nie może mówić, bo na ustach wciąż
płomienie, płomienie...

Lecą. Koń oszalał, ponosi. Prują
gęstwą krzaków, przesadzają wy-
rwy, potoki. Step się pali! Ale Billy
ją uratuje. Uciekają...

Nagle ziemia zapadła się pod
nimi. Lecą gdzieś z rozpędem razem
z koniem. Wraz z Billym, spleceni
ramionami, potoczyła się po ziemi.
Kłują ją ostre trawy. Leży, odurzona
upadkiem, bezwładna. Nad nią
tuż, jak we mgle, śniada, dzika, cu-
dna twarz, czarne oczy, białe zęby.
— Billy...

Szarpie na niej odzież, ściska,
przygniata do ziemi, dusi... Ból,
szala... Sen — noc — nicość...

Obudził ją wystrzał. Potem dru-
gi, trzeci. Za trzecim gorąca fala za-
lała jej twarz, oczy. Przygniata ją
do ziemi bezwładny, straszny cię-
żar. Omdlała.

To Patrick kłęczy przy niej i
potrzymuje jej głowę. Ociera jej
twarz mokrą szmatą, daje pić.

— Co to, Patrick, co to?

Stary nie odpowiada. Twarz zła,
zawzięta. A z oczu kapią łzy.

Nagle zawstydzila się — tak
strasznie podarła ubranie! Okrywa
się, jak może, drżącymi, nieposłusz-
nymi rękami—same łachmany. Pa-
trick odwraca się, wstaje, odpasuje
derkę od siodła. Jego koń spienio-
ny robi bokami. Tuż obok Tepo ze
zjezoną grzywą, z odsadzonym ogo-
nem kręci się niespokojnie, rzuca,
się i chrapie. Usiadła — tuż przy niej
porzucony rewolwer. A na niej krew,
czerwone ręce, czerwone są strzępy
białej flanelowej bluzy...

Opadal w trawie...

Nic jeszcze nie wiedziała. Je-
szcze nic! Straszny wrzask wydarł
się z niej, jak cudzy głos. I w tejże
chwili Patrick błyskawicznym ru-
chem zarzucił na nią derkę.

Jenny widziała ten obraz wyra-
źnie, jakby go się wyuczyla na pa-
mięć. A potem już nastala noc. Po-
tem nic już nie pamięta. Noc czarna,
sen kamienny, jakieś majaki.

Wydaje się jej teraz, że ta noc
trwała wciąż i jeszcze trwa. Trzeba
mocno, szeroko roztwierać oczy i
budzić się ciągle. Ale wciąż sennie
opada głowa.

Zdobyła się na wysiłek, wstała
pobiegła do okna i odgarnęła zasło-
nę.

— Jestem u siebie, w Zermatt.
Tam Matterhorn...

W dole wszystko już spało. Na
przeciwległym zboczku wysoko z
czarnego cienia, gdzie krył się „As-
toria Palace“, błysnęło jedno sa-
motne światełko.

Jenny utkwiała w niem zdziwio-
ne oczy i zaczęła zwolna, chwiejnie
cofać się w głąb pokoju.

Ogarniało ją niewytłomaczone
przerażenie.

— Dziwne światło. Złe świa-
tło...

Ale zaledwie dotknęła pościeli,
poczuła, że opasują ją miękkie ra-
miona Roberta — jego twarz tak
strasznie blisko...

— Co ty robisz!! Billy!!!...

Mistress Brigs, układając się już
do snu, usłyszała jednak ten krzyk.
Przez drzwi, przez ciężkie zasłony
przedarł się straszny okrzyk Jenny.
Porwała się, zaklęła, narzuciła coś
na siebie i pobiegła.

VII

Lyttonowie z wielkim gwałtem,
z pompą i z paradą sprowadzili wre-
szcie na dół swój blok ze szczytu
Matterhornu. Całe Zermatt wyległo
na ich spotkanie. Starzy i młodzi,
ludzie poważni i gapie, goście i słu-
żba, wszyscy pomieszali się ze so-
bą w tłumie. Wyprawa była oczeki-
wana w każdej chwili, gdyż przed
godziną telefonowano z hotelu nad
Czarnym Stawem, że już wyszli.

Na wąskiej ulicy zrobiło się cia-
sno. Wszystkie twarze rozbawione.
Wszyscy zaciekawieni — jak wyglą-
dają amerykańscy milionerzy, któ-
rzy, nie mając gdzie podziąć pienię-
dzy, puszczają się na podobne ka-
wały?... Jak wygląda owa skała,

sprowadzona z takim niezmiernym
trudem i kosztem? Kamień, który je-
szcze przed paru dniami tkwił tam,
pod samym niebem, na ostrzu białe-
go dzioba? Kamień, który był tam
od początku świata, dopóki nie zna-
lazł się taki, któremu się spodobało
ruszyć go z miejsca, sprowadzić na
dół i wyprawić za ocean, na drugą
półkulę świata...

— Zwyczajni waryaci!

— Może, tylko nie tak bardzo
zwyczajni!

— Ile to mogło kosztować?

— A czy to im nie wszystko je-
dno?

— No, ci, to jeszcze nie najbo-
gatsi z tutejszych.

— Daj nam, Boże, mieć tyle ka-
pitału, ile oni mają dochodu na je-
den dzień.

— Panu to się już zupełnie w
głowie przewraca...

— Poczekaj pan, rachunek bar-
dzo prosty. Liczę, że mają rocznie
tylko dwanaście milionów.

— No, no... Wolne żarty!

— Jakto? To pan nie masz naj-
mniejszego pojęcia o tem, co to jest
Ameryka...

— Jeszcze czego? Dwanaście
milionów! Czyś pan zwaryował?

Zwyczajni śmiertelnicy, goście,
ludzie zamożni, którzy zazwyczaj
przebywają w Zermatt, rozprawiali
przeważnie o majątku Lyttonów.
Ludzie uspołecznieni oburzali się,
że marnują się wielkie sumy, za któ-
re możnaby pobudować szpitale,
szkoły, wspomódz nędzę.

Kapitałiści, przedsiębiorcy i gieł-
dziarze wyobrażali sobie, czego by
to oni nie dokonali, gdyby posiadali
to, co dwóch bliźniów, nie wiedzą-
cych, co począć ze swoją fortuną.
Dygnitarz niewielkiego państwa, mi-
nister na urlopie, którego po powro-
cie czekało dużo kłopotów przy roz-
prawach budżetowych z powodu
projektu podniesienia listy cywilnej,
rozmyślał z goryczą, że najjaśniejszy
pan, jego król, nie mógłby sobie po-
zwolić na podobny zbytek. Socyali-
ści sztychli, kobiety zamożne, któ-
rym niczego nie brakowało, wstydzili
się swej nędzy, lokaje hrabiów i
duców marzyli o tem, żeby się prze-
nieść na służbę do takich państwa.
Profesor Müller, chaldeoolog, posta-
nawiał nazajutrz złożyć wizytę Lyt-
tonowi-ojcu z propozycją ufundowa-
nia ekspedycji dla wykopalisk
naukowych gdzieś w Mezopotamii.
Profesor Müller, paleograf, wybierał
się tam w sprawie wydania trzech
tysięcy ułamków bezcennego doku-
mentu z wieku IX. Profesor Müller,
badacz życia i zwyczajów pasoży-
tów gronostaja, zamyslał o wydo-
staniu zasiłku na specjalną hodowlę
tego ciekawego stworzenia (wraz z
pasożytami) w celu ułatwienia badań.

Bo jeżeli ktoś ma pieniądze na
podobnie kolosalne głupstwa, to teni-
bardziej... Spodziewali się oni prze-
konać Lyttona-ojca czystą logiką.

Ludzie wielkich idei i maniacy,

politycy, hochstaplerzy, chybieni geniusze, pożerani wieczną gorączką sławy, kobiety cnotliwe i kobiety grzeszne, starcy i dzieci, wszyscy, ilu ich było, ocierających się o siebie w tłumie, ludzie wszelkich typów i wszelkich narodowości — czekając na zabawne widowisko, myśleli właściwie o jednym.

Pokazywano sobie „wielkiego” Slazengera i jego córkę, najbogatszą pannę na kuli ziemskiej. Dziwiono się, że wyglądają na zwyczajnych ludzi. Mówiono o naszyjniku. Van Joerg kręcił się wśród tłumu z całą nonszalancją brzydała, który nic sobie nie robi z własnej potworności. Był w nadzwyczajnym humorze i wyszczerzał bezustannie żółte, popsute zęby do Charlotty.

Dziewczynka odpowiadała mu z powagą i zachowywała się, jak osoba dorosła. Wiedziała, że wszyscy na nią patrzą, bo muszą patrzeć, więc udawała, że nie widzi nikogo. Była dumna ze swojej urody, była dumna z tego, że taki potentat z za morza jest jej opiekunem, dumna była nawet z jego monstrualnej brzydoty, ho to zwracało na nich zawsze powszechną uwagę.

— Cóż za wstrętny karzeł!...

— To chyba nie jego ta cudna córeczka?

— Chyba wnuczka?

— Córka! Wnuczka!... Panowie, widać, nie mają pojęcia, kto to jest!

— ?

— Zbrodnia bogaczy, wołająca o pomstę do nieba, a właściwie wo-

łająca na puszczy — bo niema prawa na tego łotra...

— Co? co?

Grupa ludzi nie znających ze sobą, wszczęła głośną rozmowę o Van Joergu. Jakiś jegomość, czerwony z gniewu, z pianą u ust, popiespiesznie informował zebranych. Mówił zagłębionym, ale van Joerg, który był sobie właśnie przystanął, żeby zapalić cygaro, zdawał się nie słyszeć ani słowa.

— Chodźmy! — ciągnęła go Charlotta.

— Poczekaj, maleńka. Lubię, jak o mnie mówią szczerze. To jakiś zacy człowiek.

— Ja się boję — chodźmy dalej!

— Jesteś jeszcze mała. Kiedy dorosisz, to się przekonasz, jeżeli będziesz mądra, jak to miło widzieć, gdy się ludzie na ciebie wściekają i warczą, a ukąsić nie mogą. Nie mogą!

— Dobrze wiedzą, że nie mogą. I to ich właśnie tak irytuje. Zabawne!

Zacietrzewiony jegomość, widząc, że van Joerg zupełnie dobroduszenie patrzy na niego i słucha pilnie, iakgdyby mówiono o kim innym, urwał, zmieształ się i stał bezradnie. Małpia twarz bogacza tonęła w zmarszczkach. Van Joerg bawił się wybornie i trzymał mocno Charlotte, która wrywała mu się prawie.

— Tu sobie poczekamy, maleńka. Stąd będzie najlepiej patrzeć, bo tu wyżej. A tam ludzie nam wszy-

stko zasłonią. Oboje jeszcze jesteśmy mali.

— Ale ja większa od ciebie!...

— Rośnij zdrowo, dziecko najśodsze, — byleby nie za prędko...

Młody Gustaw de Chappedelaine asystował miss Lucy Slazenger. Stary markiz z niezmierną godnością kaleczył angielszczyznę, rozmawiając z „królem miedzi”.

Stary arystokrata już dawno został porwany i mknął z prądem. Panna otwarcie i obcesowo, nieco po amerykańsku (tem lepiej), flirtowała z Gustawem, który na Breithornie się nieco zblamował, ale za to na równej ziemi, zwłaszcza w salonie, zaćmiewał wszystkich, a tembardziej obu amerykańskich konkurentów, panów Dudley'a i Powell'a, którzy przybyli w tych dniach.

Na tych rostyli i dorodnych drabów, którzy zdaleka cuchnęli milionami, stary markiz spoglądał z nie-nawiścią.

Z odrazą słuchał ich szybkiego gardłowego gulgotania, w czem znowu nie mógł im sprostać Gustaw, który po angielsku mówił poprawnie, ale nieco koślawo.

— Co za czasy, miły Boże... Dawniej tacy wstydziłiby się, że nie umieją po francusku, a teraz my się musimy dławić ich przeklętym żargonem...

DCN.



SAVITRI.

Jak te kwiaty...

Idę w nasz stary ogród. Tam najdzikszy Zakątek kwieciem sam obsiałem wiosną. Idę tam marzyć, gdy gwar mi się sprzykrzy Życia, a sny me, jak te kwiaty, rosną. Klomb jest stokrocią różową obszyty, Niby szeroką taśmą u zapaski, Dalej lśnią bratków cudne aksamity: Jaskrawe złoto, jak słoneczne blaski, Fiolet, jak pazia marzącego beret, Tu czerni, tu błękit, tu białość migota, — Tak tkliwie miękkie są wśród kwiatnych czered, Jak niewymowna najśodsza pieszczota. Pośrodku róża — niby dumna księżna W ciemno-ponsowem kwieciu, jak w atlasie, A za nią skromnych rezed brać siermiężna, Krzaki georgiin w jaskrawej swej krasie, Ostrych nasturcyi ogniste kieliszki, Gwoździków krwawych i śnieżystych pęki. Splątane kwiaty, liście i łodyżki Utkwały dywan wielobarwny miękki. Wyhaftowane stoją na nim słowa Tajnej poezyi, którą duch samotny W głębi miłośnie i zazdrośnie chowa. Są tu zaklęcia, które snów kraj lotny Mogą z błękitnej mgiełki wyczarować, I jest tu piękna rozkaz, który w lenno Duszę zabiera, że ta błaga: „Prowadź W czas nienazwany i w przestrzeń odmienną!”

O jagnięciu i o nieprzyjacielu zewnętrznym.

Gotował się wilk, by jagnię skonstruować smacznie. Ono w lament i tak go molestować zaczęło: Gdzie kultura etyczna?! Prawda, że użyjesz, Ale jakąż się hańbą i sromem okryjesz?! Bądź sprawiedliwym! Porzuć apetyt niegodny! Rzecz wilk: Dobryś sobie! Kiedym ja jest — głodny.

Jagnię polskie przed kłami jego wilczej mości Z ogromną swadą beczy — o sprawiedliwości.

O jagnięciu i o nieprzyjacielu wewnętrznym.

Wielką kupą opadłszy raz wilka jagnięta, Powaliły go o ziem. Gdy go biorą w pęta I nie bacząc na wilcze lamente i jęki Chcą mu kły raz na zawsze wybić z zlej paszczeki, Czekajcie — wola jedno — miejmy to na względzie: Gdy go kłów pozbawimy, to czem on jeść będzie?!

Jagnię polskie zasady tej przestrzega karnie: Gdy się bronić przed kłami — to humanitarnie.

Ch.

Rozdział XXII.

W miarę, jak zbliżał się dzień mego ślubu, radosny nastrój domowy począł ustępować atmosferze rozdrażnienia. Wszyscy byliśmy zdenerwowani do najwyższego stopnia, a ciotka Brygida objawiała to zdenerwowanie szorstkością.

Wskutek tego chroniłam się najczęściej do mego pokoju i siadywałam tam godzinami w szlafroczku i rannych pantofelkach, zdala od panującego w całym domu chaosu i gwaru.

I wtedy zaczęłam zastanawiać się nad wszystkim, a w miarę tego podnosiło się we mnie coraz dotkliwsze poczucie jakiegoś braku.

Na trzy dni przed ślubem wstałam rano i wyszłam na przechadzkę. Bezwiednie prawie zaszłam przed domek doktora. Wyglądał tak samo, jak niegdyś; ostatnie jesienne róże kwitły dokoła okien pokoju, w którym spałam dzieckiem.

Doktor bez marynarki kopał w ogrodzie.

— Dzień dobry, doktorze! — zwołałam przez sztachety.

Oparł się na rydlu i spojrzał na mnie, ale zrazu nic nie rzekł.

— Nie poznajesz mnie pan? — zapytałam.

— O, tak... tak; to...

Nie dokończył i, zwracając się ku sieni, zwołał:

— Matko! Matko! Chodź, zobacz, kto przyszedł nareszcie.

Matka Jurka ukazała się we drzwiach z tą samą słodką, kobiecą twarzą, co dawniej.

Ujrawszy mnie, wyciągnęła o-bie ręce i wykrzyknęła:

— A co! Nie mówiłam! Nie mówiłam, że mogą ją tam sobie wydawać za pięćdziesięciu lordów, a ona przecież o starych przyjaciółach nie zapomni!

Zaśmieliśmy się wszyscy; a ona otworzyła furtkę i, wciągając mnie do wnętrza za obie ręce, rzekła:

— Niech ci się napatrzę, kochaneczko. Cuda mi tu o tobie opowiadali, jak wyrosłaś i wyiękniałaś, ale widzę, że jeszcze zamało powiedzieli. Pójdźże, pójdź i rozgość się, jak na własnych śmieciach.

Weszliśmy do kuchni, która była zarazem jadalnią i w której na płycie gotował się *porridge* i bulgotała woda w kociołku.

Wszystko było, jak dawniej, i wspomnienia dzieciństwa z temi sprzętami związane, tak mnie chwyciły za gardło, że słowa wykrztusić nie mogłam. Ale zato matce Jurka nie zamykały się usta. Mieszając *porridge* łyżką, mówiła:

— A, tak! tak! Pomyśleć, ile to lat, kiedyś ty, kochanusiu, przysła śpiewać kolendy pod naszymi

oknami. Pamiętasz to, prawda? A co? Powiedziałam mężowi: „Nie pleć głupstw. Ona nie zapomni. Ja ją znam. Może sobie zostać wielką panią, ale ja w nią nie wierzę, a na moich kolanach“.

— Więc państwo wiedzą? — zagadnęłam.

— A wiemy, wiemy, — odpowiedziała z odcieniem smutku. — Wszyscy, co chcą i nie chcą, muszą wiedzieć. Jakże! takie przygotowania! A orkiestry, a mięsa, co się pieką dla biednych, a fajerwerki, a iluminacya, a Bóg wie, co jeszcze!

Umilkła na chwilę, poczem do-dała z prostotą:

— Ale, jeżeli go kochasz, *cho-ciaż* jest lordem, to...

— Pani myśli, że to konieczne?

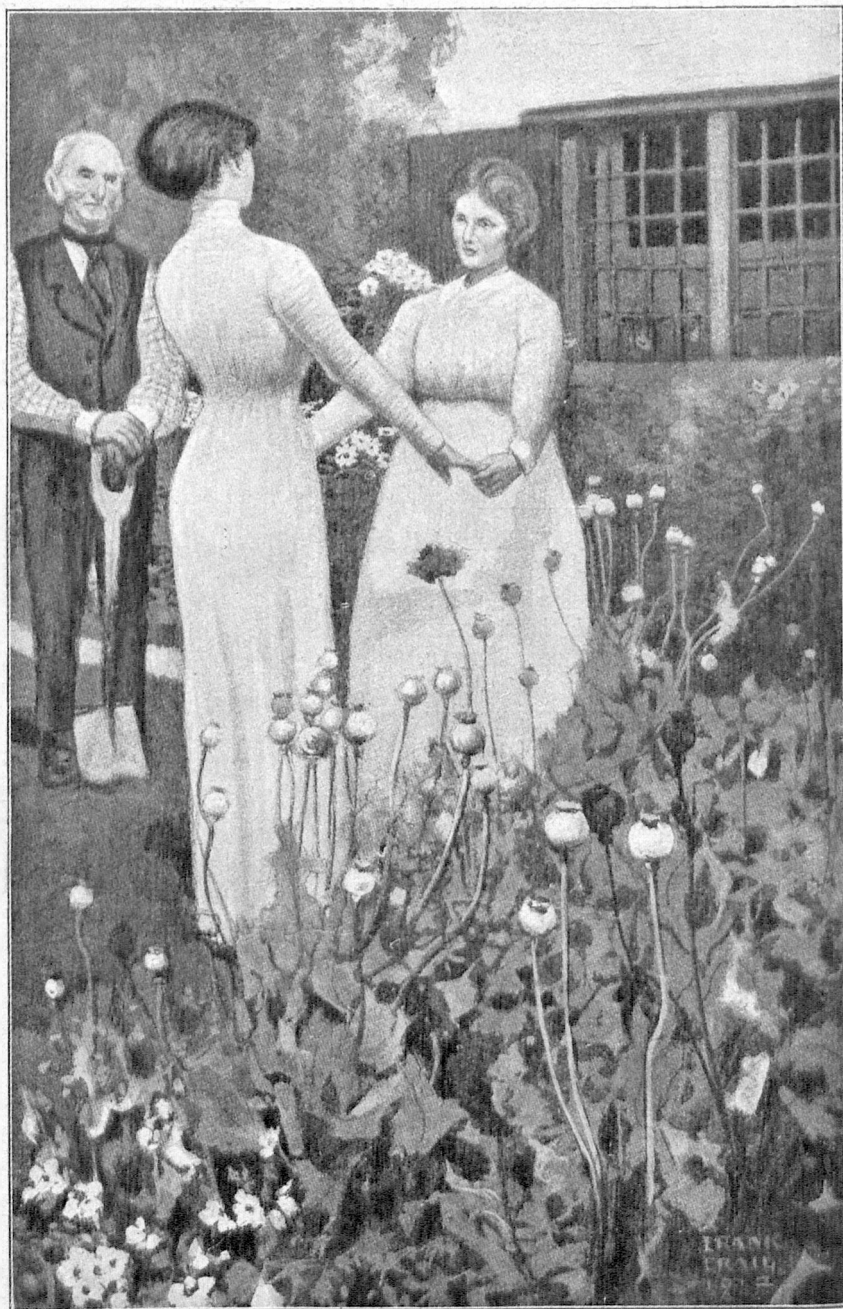
— Co takiego, kochasiu?

— Kochać... Pani myśli, że to konieczne kochać swego męża?

— A oczywiście, gołąbko. Jeżeli nie kochasz, to cóż ci pozosta-nie? Mąż mówi mi, że w Londynie panny z wielkiego świata wychodzą za mąż dla pieniędzy, dla tytułów; ale ja w to uwierzyć nie mogę, do-prawdy nie mogę. Bo i na nie przyjdą kłopoty i zmartwienia, jak na nas, a wtedy cóż im się zawiąże ze stro-ków i karet?

Teraz miałam już gardło do re-szty zasznurowane. Wstałam i za-częłam przyglądać się srebrnym pu-harkom, stojącym na kominku.

— To Jurkowe — objaśniła je-go matka. — Nagrody za pływanie, skakanie i różne tam inne rzeczy. A tak! tak! On zawsze był do tego pierwszy. Z lekcjami to mu tam cza-sem szło nietego, chłopaczynie. Ale



... — A co? Nie mówiłam! Nie mówiłam, że mogą ją tam sobie wydawać za pięćdziesięciu lordów, a ona przecież o starych przyjaciółach nie zapomni!

już jak chodziło o sporty! A teraz pojechał gdzieś na koniec świata szukać Bieguna Południowego.

— Wiem; widziałam go w Rzymie — rzekłam.

Upuściła łyżkę i popatrzyła na mnie szeroko rozwartemj oczyma.

— Widziałaś go? W Rzymie, powiadasz? Teraz?

Skinęłam głową, a ona, rozpromieniona nagle, zwróciła się do doktora, który, umywszy ręce pod pompą, wchodził do domu.

— Ojcie! Mary widziała go w Rzymie!

Doktor odrazu domyślił się, o kogo chodziło, bo jeden tylko on był w domu, i oboje na wyścigi poczęli mnie rozpytywać o tę źrenicę swego oka. Niewiele miałam do powiedzenia, ale i to im wystarczyło; a matka Jurka przerywała mi ciągle wykrzyknikami:

— No, proszę! Ktoby to pomyślał! Ze się gdzieś na obcej ziemi spotkali. Razem to rosło. Niby brat z siostrą!... A myśmy nieraz sobie myśleli, że, kiedyś... kiedyś!... Ale cotam! Niema o czem i mówić teraz.

— Tak, Krysiu; niema o czem mówić teraz — rzekł doktor.

Nastąpiło milczenie, tak, jakgdyby tych dwoje ludzi, przewracając w starych rupiecicach, natknęło się nagle na kołyskę, w której umarło dziecko.

Było mi dobrze i słodko z nimi, ale zarazem czegoś tak niewysłowienie przykro, że wstałam i zaczęłam się żegnać. Odprowadzili mnie do furtki, mówiąc, żeby mi się nie spodziewała zobaczyć ich na przyjęciu weselnem, ile że ona nie miałyby się nawet w co ubrać stosownie, a doktor, cierpiący na reumatyzm, nie wydałał się już z domu wieczorami.

— Ale w kościele bedziemy — dodała matka Jurka. — I, jeżeli zbliżymy się tam do ciebie z powinnowaniami, to wiedz, kochasiu, że jesteście i życzymy ci szczęścia z całego serca.

Nie mogłam znów wykrztusić ani słowa, ale, odszedłszy kawałek drogi, obeirzałam się i zobaczyłam ich, jak stali przed furtką; ona z ręką na ramieniu doktora, ta słodka kobieta, która ponad wszystkie względy światowe przeniosła miłość i nigdy tego nie żałowała.

Wracając do domu, musiałam przechodzić koło plebanii. Ojciec Dan zobaczył mnie przez okno i, otworzywszy łucik, zawołał, bym na niego poczekała, bo ma mi coś do powiedzenia.

Jakoż wybiegł spieszenie w swej zniszczonej sutannie i piusce i poszliśmy razem dalej; ja milcząca, a on widocznie czemś bardzo poruszony.

— Biskup przyjechał — rzekł wreszcie. — Ogromnie rozgniewany... Tylko się nie martw... Ale...

— Co się stało? — zapytalam.

— Widziałaś młodego Conrada w Rzymie?

— Tak.

— I... co zaszło między wami... niby w kwestyi twego małżeństwa? Opowiedziałam mu wszystko.

— Bo, widzisz, chłopak napisał długi list do biskupa, wzywając go, żeby do tego małżeństwa nie dopuścił.

— Żeby nie dopuścił?

— Tak... Pisze, że to jest tylko prosty handel, że jeżeli Kościół użyje swego błogosławieństwa takiemu targowi, to niech błogosławi równie niewolnictwu i wszelkim bezprawiom.

— I cóż?

— Biskup grozi, że powie twemu ojcu. „Któż on jest, ten chłystek“, powiada, „który śmie...“ Ale to jeszcze nie wszystko.

— Nie wszystko?

— Nie. Jurek napisał także do mnie i...

— Co napisał, Ojciec Dan?

— Kiedy nie wiem, czy powinienem ci to powiedzieć... Chociaż... jeżeli to prawda...

Drżąc, jak listek, zaczęłam prosić go, żeby niczego przedemną nie tał. Więc mi powiedział, Jurek pisał o moim przyszłym mężu, że to człowiek bez żadnego charakteru, znany rozpustnik, mający jakąś kochankę w Londynie, z którą już od dość dawna żyje, jak z żoną, i że małżeństwo ze mną będzie, jak się Jurek wyraził, „uprawnionym i usankcjonowanym konkubinatem“.

Mój drogi, zacny Ojciec Dan! Opowiedział mi to, iakajac się i nie patrząc na mnie, iakgdyby to było coś tak potwornego, że jego czyste, proste serce uwierzyć temu nie mogło.

— Gdybym miał to przekonanie, że tak jest rzeczywiście, — dodał — że człowiek, wiodący takie życie, chce poślubić moją pieszcotkę... Ale nie. Pan Bóg nie mógłby ścierpieć czegoś podobnego... Muszę się wywiedzieć... My tu żyjemy tacy odcięci od świata na tej wyspie... Ale już muszę wracać. Biskup może mnie potrzebować...

Pożegnał mnie stroskany. U wjazdowej bramy zobaczyłam Tommy Maitka na drabinie, przystrojonego oranżeryjnemi kwiatami tryumfalną bramę, poprzedniego dnia wzniesioną.

Starszek udał, że mnie nie widzi, ale to właśnie skłoniło mnie, żeby przystanąć i przemówić do niego.

— Tommy, — rzekłam — czy wiesz, że ty tylko nie powiedziałeś mi ani jednego dobrego słowa z powodu mego zamężcia?

— Doprawdy, panienko? — odparł, nie patrząc na mnie. — Ha! może dlatego, że mam tyle złych do powiedzenia innym.

— Jakim innym?

— A choćby na ten przykład takiemu Johnny Christopher'owi. Spotykam się z nim wczoraj „Pod Osiodlanym Koniem“. „Szykuje się na wielkie rzeczy u was“, mówi Johnny. „Ha! może się i szykuje“, mówię.

„Będzie się miała czem pysznić wnuczka starego Neilla, gdy zostanie panią na zamku Raa“, mówi Johnny. A ja na to: „Może i tak. Ale zamek Raa będzie miał jeszcze czemś więcej się pysznić, gdy ona tam swoją śliczną stopką wejdzie“.

Rozdział XXIII.

Nie umiem wypowiedzieć, jak mnie zgnębiła wiadomość o liście Jurka. Ze wszystko, co pisał, było prawdą, w to nie wątpiłam ani na chwilę. Naprzód, że to pisał on, a powtóre, że zgadzało się w zupełności z tem, czego się dowiedziałam z pierwszej i jedynej rozmowy z lordem Raa.

Jasnym było, że kochał inną, i że, gdyby, jak jego przyjaciel, Eastcliff, był dość bogatym, by sobie dogodzić, to by się z nią ożenił; ale ponieważ jest zadłużonym, więc żeni się ze mną wzamian za pieniądze mego ojca.

To było straszne. To było wprost grzeszne. Nie mogłam uwierzyć, aby mój ojciec, biskup i prawnicy wiedzieli coś o tem.

Postanowiłam więc powiedzieć im sama, ale iak się wziąć do tego, nie miałam pojęcia.

Nigdy przedtem brak matki nie dał mi się uczuć tak dotkliwie. Gdyby ona żyła, poszłabym do niej i otworzyłabym przed nią moją duszę, niechby mi dała jaką radę; ale nie było jej, niestety! Pozostawała tylko ciotka Brygida, a choć trudno mi było wyobrazić ją sobie w roli powiernicy, po długim wahaniu, zdecydowałam się pójść do niej.

Było to w wigilię mego ślubu. Zastałam ją prasującą nową, biały czepeczek, a musiałam być bardzo blada, bo, ujrawszy mnie, postawiła ze stukiem żelazko na drucianej podstawie i wykrzyknęła:

— W imię Ojca i Syna! A tobie co takiego? Zaziębiłaś się na tych rannych przechadzkach. Jakby niedość było kłopotów bez tego! Trzeba zaraz posłać po doktora; bo przecież nie można dopuścić, abyś się rozchorowała teraz, po tylu kosztach i ambarasach.

— Nie, ciociu, jestem zdrowa zupełnie.

— Więc o co chodzi?

— Powiedziałam jej, jak umiałam najlepiej, choć ięzyk mi się plątał pod wejrzeniem jej chłodnych, szarych oczu, patrzących na mnie przez oprawne w złoto okulary. Zrazu ciotka słuchała z osłupieniem; poczem parsknęła śmiechem.

— Wiec i ty słyszałaś tę opowiastkę! — rzekła, śliniąc palec i próbując nim żelazko. — A to paradne!

— Czy to prawda, ciociu?

— A skąd ja mogę wiedzieć? Zresztą, choćby i tak! Młodość musi wyszumieć. Przecież nie możesz żądać, żeby lord Raa przystępował do ślubu czysty, iak dziewczyna. Gdyby wszystkie kobiety donagały się

tego, toby dopiero było starych panien na świecie!

Czułam, że się czerwienię aż po białka oczu, niemniej rzekłam:

— Ale jeżeli on tamtą kobietę uważa jakby żonę?

— Jaką żonę? Co ci się śni!

— Chciałam powiedzieć, że jeżeli ją kocha...

— Kocha... kocha!... Więc co z tego? Już on sobie z nią da radę, nim się z tobą ożeni, bądź spokojna. Będziesz go miała dosyć na własną potrzebę.

Coraz bardziej pomieszana, wybełkotałam, że mnie wcale o to nie chodzi; ale że skoro już mam iść za niego, to chciałam, żeby on mnie kochał i ja jego, a tymczasem...

— Poczekaj, poczekaj, nie bądź taka w gorącej wodzie kapana! — przerwała mi ciotka. — To przyjdzie samo z siebie. Chcesz wierzyć memu doświadczeniu? To ci powiem, że najlżejsze są te małżeństwa, które się zawierają z rozsądku, bez tych wszystkich achów i ochów, i przewracań oczami, i westchnień, co jest dobre tylko w książkach. Zresztą, przekonasz się sama; teraz nie zwracaj mi więcej głowy, bo i tak mam tego powyżej uszu.

Wróciwszy do mego pokoju, zastałam list od Ojca Dana tej treści:

„Droga córko w Jezusie!

„Nie mogłem przedsięwziąć poszukiwań na własną rękę w sprawie, o której mówiliśmy, żeby nie obrazić mego biskupa, ale zapytywałem twego ojca, a on mnie upewnił, że niema w tem ani słowa prawdy“.

„Muszę więc wierzyć, że nasz kochany Jurek został mylnie poinformowany i przechodzę nad tem wszystkim do porządku dziennego. Radzę ci uczynić tak samo“.

„Twój w Chrystusie
D. D.“.

Rozdział XXIV.

Nie mogłam zastosować się do rady Ojca Dana. Opadły mnie jakieś złowrogi przeczucia i cały dzień chodziłam, jak błędna, przemyśliwając, co począć, gdy po wczesnej kolacji ciotka Brygida rzekła:

— A teraz, dziewczęta, marsz do łóżka, bo jutro wcześniej wstać trzeba.

Wówczas w ciszy, jaka zapanała w domu, usiadłam pisać do Ojca Dana.

Nigdy dotąd nie napisałam podobnego listu. Całe moje serce przeleżało na papier, tłómacząc, czem w mojem pojęciu było małżeństwo, iako sakrament, wymagający obustronnej miłości; a ponieważ ani ja nie kochałam lorda Raa, ani on mnie, zaklinałam Ojca Dana na namięć mojej matki i jego przywiązanie do mnie, by porozumiał się z moim ojcem i biskupem i wykazał im niemożliwość tego związku.

Kończyłam pisać, gdy na dole u-

słyszałam kroki ojca w jego pokoju. Coś mnie jakby pchnęło. Zesłam i zapukałam do drzwi.

— Kto tam? — zawołał ojciec. — Proszę!

Siedział w kamizelce przed lustrem i golił się. Zamydlona górna warga nadawała jego fizyognomi wyraz srogi i śmieszny zarazem.

— Ach, to ty! — rzekł. — Siadaj. Muszę się z tem dziś ułatwić, bo jutro mógłbym nie mieć czasu.

Usiadłam w kącie przy kominku.

— Myślałem, że już śpisz. I ja bym już spał, gdyby nie ta cała sprawa. Popatrz — mówił dalej, wskazując brzytwą na stół, zarzucony papierami — to część tego, com musiał zrobić dla ciebie. I tak myślę, że powinnaś być wdzięczną twemu ojcu.

Podziękowałam mu. Poczem przez szcękające zęby zaczęłam bełkotać, iako nie kocham lorda Raa, iako lord Raa nie kocha mnie również i zaklinam ojca na wszystko, co mu najświętsze, by odłożył ślub.

Zrazu ojciec nie mógł uwierzyć własnym uszom.

— Odłożyć ślub? Teraz? Kiedy już wszystko ułożone, spisane, doświadczone! I kiedy już tyle pieniędzy poszło!

— Tak, ojcie, bo...

Nie dał mi dokończyć. Cisnął brzytwę i zerwał się, dygocąc ze złości.

— Czyś ty zwarwowała? Czy ci kto błękotu zadał? Nainierwsza partya na wyspie, a ta plecie o odłożeniu ślubu, czwli o zerwaniu. I to w ostatniej chwili! Kiedy już tylko iść do urzędu i do kościoła! Czuj ty mnie chcesz wystrychnąć na dudka? O! ale ja wiem, ja wiem, co się w tem święci. To ten błazen Conrad napisał do ciebie.

— Ależ, ojciec...

— Nie przecz! Pisał do wszystkich: do mnie, do biskupa, do Ojca Dana. Dureń iakiś, golec; on się tu będzie mieszał w nieswoje rzeczy! A jemu dwabli, co do tego, za kogo moja córka wydaie! Od tego jestem ojcem, żebym robił, jak mi się podoba. Także!

Wykrzykując w ten sposób, chodził po pokoju, stając tak ciężko, aż się podłoga trzęsła.

— Albo i ta baba w Rzymie! Nie dałbym szelaga, że i ona przewróciła ci w słowie... A to wszystko te nowomodne brednie. Równie prawa dla mężczyzny i kobiet!... Jakedybych ich pan Bóg odmiennie nie stworzył!

Milczałam, ukrwwszy twarz w dłoniach. To musiało ulagodzić trochę ojca, bo położył mi rękę na ramieniu i zapętał mnie już spokojnie, czy sześćdziesięcioletni mężczyzna nie może znać się lepiej na tych sprawach, niż dziewiętnastoletnia dziewczyna, i czy mogę przynęszczać, że godziłyby się na to małżeństwo, gdyby się wrzód nie upewnił, że to będzie dla mego dobra i dla jego, i dla wszystkich?

— Cóż? Wierzysz mi?

Skinęłam głową, a on dodał:

— Więc nie bręcz mi więcej nad uszami i idź spać!

Byłam złamana. Nie mogłam opierać się dłużej. Wstałam w milczeniu i wyszłam.

Wróciwszy do siebie, podarłam mój list do Ojca Dana z takim uczuciem, jakby to było coś żyjącego, jakaś cząstka mnie samej, moje serce i wszystko, co ono w sobie zawierało.

Poczem otworzyłam okno. Zdało dochodził do mnie szum morza. Zdawało mi się, że ten szum coś mi mówi, coś mi przekłada, lecz nie mogłam zrozumieć jego głosu. Wilgotne, słone powietrze ochłodziło moje zapuchłe od płaczu powieki.

Wreszcie, drżąc z zimna, położyłam się do łóżka. Gdy zgasiłam światło, zauważyłam, że księżyc, świecący wprost moich okien, był w tak zwanej lisiej czapce.

DCN.

Wiadomości literackie.

Z literatury polskiej.

STANISŁAW PRZYBYSZEWSKI. „Dzieci nędzy“. Powieść.

Najnowsza powieść Przybyszewskiego posiada przedziwnie fantastyczną fabułę. Z opłotków polskiej wsi bohaterzy jej biegna kończą swe tragiczne życie w odnęciu Paryża. Nie wszystkie momenty, nie wszystkie perypetye stoją na wysokości, których należałoby się spodziewać po mistrzu takim, jak Przybyszewski. Wyraźna linia początku łamie się w rozdziałach środkowych. Koniec też nie rozwija się moralnego założenia „Dzieci nędzy“. Smutna jest przytem ta powieść, tak smutna, jak smutna jest każda wyrozumowana bezcelowość ludzkiego istnienia. Przybyszewski umie patrzeć w przepastne głębiny życia i śmierci. Nie umie jednak przezwyciężyć bólu i trwogi i cofa się z rozpaczą w morał lub też neguje dla negacyi.

WACŁAW SZELAŻEK. „Klosy i kakole“. Poezye.

Nie wszystkie wiersze tego zbioru stoją na wysokości wymagań, jakie mamy zwyczaj żądać od tego rodzaju utworów. Ale tem niemniej przez wiersze te mówi zachwyt nad polskim krajobrazem, spowiadają się szczerze uczucia, wołają rodzinne smutki. Niektóre erotyki mile też wpadają w ucho. Gdyby większa dhałość o wersyfikacye, gdyby większy pietyzm dla słowa — mogłyby w przyszości pieśni p. Szelażka zbagacić godnie twórczość naszą poetycką. Stosunkowo najciekawszymi obecnie są liryki, które dotyczą ziemi naszej.

× *Is. Querido*. „Melvina en de Legende van de Vuurtoren“. („Melvina i legenda o latarni morskiej“.) Autor „Znoju ludzkiego“, wspaniałej enopei chłopca holenderskiego, daie tym razem czytelnikowi zbiór nowel który zaopatrzył w tytuł noweli pierwszej, najdłuższej. Bohalterka tej noweli, to stara kobieta, która utraciła na morzu męża i syna starszego i usiłuje zniweczyć urok, jaki to mo-